K. Morawski

(prezes Polskiej Akademji Umiejęt.)

Siedm grzechów głównych Krakowa

Odbitka z „Czasu“

Kraków

1893.

SIEDM GRZECHÓW GŁÓWNYCH
stołecznego miasta Krakowa
i przyległości.

Spowiedź publiczna.

Ponieważ jestem stary i świeżo przebyłem cholerę, podczas której myto mnie nad miarę, a czyszczono tak, że aż o mój odor tylowiekowy bać się przyszło, ponieważ wogóle bardzo liche mam zdrowie, a piję wodę, która raczej na potrawkę z mikrobów, niż na płyn wygląda, ponieważ mówienie o wodociągach do wściekłości i wodowstrętu doprowadzić mnie może, postanowiłem się wyspowiadać i to odrazu z grubszego. Bo o moich potocznych grzechach często gęsto po gazetach piszą. Wybrałem zaś sobie spowiednika starszego, bo ten i raźniej na wyrozumienie się zbierze i łacniej człowiekowi naukę dać może. Ciężka to wprawdzie rzecz spowiedź publiczna, ale że u nas czytają mało, może i w druku najlepszy środek, aby o moich winach powszechnie się nie dowiedziano. A co mi ulży, to ulży. Zaczynam więc od grzechu który zawsze i wszędzie chciałby rej wodzić i nawet między śmiertelnymi na pierwszy plan się wysunął: od pychy.

I.

PYCHA.

Civis Romanus sum — mawiał obywatel rzymski, a wyrazy te czarodziejskie otwierały mu wrota z trudnym dostępem, lub osłaniały jego winy przed karą grożącą. „Obywatel miasta Krakowa“ bierze wielu z moich mieszkańców jako jedyny tytuł chwały na podróż ostatnią, w drogę wieczności. Czy ten tytuł u Najwyższego Trybunału zrobi wrażenie, nie wiem; wiem za to, że w doczesnem życiu ma on dotąd i mieć powinien wdzięk swój i urok niezatarty. Bo mimo że miastu zdjęto koronę i podarto szkarłat królewski, jest w niem zawsze majestat wielkiej przeszłości, kamienie jego są ciągle chlebem pożywczym i ożywczym dla tętna serca polskiego. Kiedy w wiosenny poranek srebrne mgły osiędą nad miastem, nad którem wystrzelają w górę dwa kopce, pełne podań i snu przedhistorycznego, trzeci, jak *Sursum corda* po klęsce, kiedy dzwony wieżyc krakowskich z pełni serc swoich zaczną powietrzne rozhowory, tak tu przeszłość natenczas wola i śpiewa, że takiej wymowy nieczęsto posłyszeć na ziemi. Wtedy to człowiek od życia ucieka myślą na groby, które temu życiu przynoszą jako hasło *memento... vivere,* zwraca się do tych wszystkich, którzy przywaleni głazami na Wawelu wołają głosem donośnym i silnym: Któż nam odwali ten kamień? i to pytanie rzucają w duszę jako zarzewie i bodziec do dalszej pracy. Niema miasta, w którem by taki

przedział panował między majestatem minionym a mizeryą dzisiejszą; ale też niema miasta, któreby tak uskrzydlało dusze do wyższego polotu, tak gwałtownie je wyciągało z szarego bagna pospolitości. *Quacumque enim ingredimur, in aliquam historiam vestigium ponimus* — mawiał Cycero o Rzymie; mowa ta staje się przedewszystkiem wyrazistą, gdy Kraków sam u siebie zostanie, gdy w lecie pierzchną zeń wszelkie historyjki i potoczne gadki, a sam w wieńcu swej prześlicznej przyrody ponad szczytami drzew rozłożystych opowiada, że inne wiosny miewał w życiu, że inną zielenią wieńczył kiedyś swe skronie, które jednakże królewskiego znamienia nie zatraciły.

Może zacząłem od chwalenia się, jak to często na spowiedziach bywa; ale niech mi będzie przebaczoną ta uprawniona duma z wielkiej przeszłości, boć przecie żyję z jej okruchów i z cmentarza siły swe czerpię i urok prawie śmiertelny.

Dumie tej pokrewną by była ambicya, ta duma w czyn wprowadzona i czynem usprawiedliwiona. Ale tu na grzechy opuszczenia głównie skarżyć się przyjdzie. Zamiast ambicyi rozwielmożniły się w mych murach skarłowaciałe jej wyrodki, ambicyjki, godne raczej mych przedmieść, niż mojej stołecznej godności. Coraz mniej rodzi mi się młodzieńców, którzyby mieli porywy zbawienia Ojczyzny, coraz mniej takich, którzyby o nieśmiertelności po za rogatkami marzyli; choćby do burmistrzowania miastem nie znajduję kandydatów, a jeżeli Cezar wolał być pierwszym w małej mieścinie, niż ostatnim w Rzymie, to ja spadłem już chyba na tak niski poziom, że nikt pierwszym w mych murach być nie zamierza. Zawrze czasami tutaj, jak w kotle, wybory wywołają licytacye, zawracające głowy mym mie-

szkańcom i mnie samemu, tak, że w bujnych marzeniach las nowych mioteł podchodzić mi się zdaje pod mury, ale po cudnych marzeniach rzeczywistość okazuje znów same stare miotły, pod których rózgami trawie i chwastom nic nie zagraża. Po „Idach“ marcowych następuje straszne „Prima Aprilis.“ Gdyby też gdzie była stacya dla szczepienia ambicyi, ojców i synów miasta posłałbym tam po limfę; ta, którą mam do dyspozycyi, zużyta mocno i ciepłą wodą czy piwem rozcieńczona. W tornistrach mojej młodzieży pełno jest rupieci poziomych, marzenia o stypendyach, pensyjce i innych tego rodzaju antygłodowych instytucyach, ale nie znaleść laski marszałka; ideały tak nisko zawieszone, że nie wspinając się, dosięgnąć ich można bez wrzawy i kurzawy, ideały to zdolne nasycić żołądek jednej osoby, ale nie zdolne podniecić serca ogółu. To też w suplikacyach narodowych osobna prośba o wskrzeszenie zdrowej i silnej ambicyi pomieszczoną być powinna.

Wielkich ludzi brak mi zupełnie. Chodziła wprawdzie kiedyś niewinna, czy złośliwa legenda o wielkich ludziach w Krakowie, szerzona zapewne po bruku przez samych dzierżycieli tego miana. Byle jaka figura na piedestale historycznym, którego Kraków dostarcza, wierzyła, że wieki ten piedestał dla niej i pod nią składały, a z bruku wchodził przez nogi fluid majestatu w same członki, które sztywniały stopniowo. Rzeczpospolita Krakowska ze swoim małym rozmiarem i drobnemi sprawami była cieplarnią, stworzoną dla tych przymuszanych i sztucznie trybowanych wielkości. Dla takich postaci koniecznem jest pozostawanie na stajni, *Stallfütterung,* jak to nazywa agronomia; wszelki powiew zarogatkowy mógłby je zdmuchnąć, lub powalić. To też, jak mieszkańcy Wolterowskiego Eldorado, ślubowali oni, że nigdy

nie wyjdą po za rogatki, miasto było dla tych proroków w kieszonkowej *patria* wielką instytucyą ubezpieczenia, koniecznym gruntem takich, do gleby przywiązanych Anteuszów. A *populus* Rzeczypospolitej spoglądał z podziwem na tych ulubieńców Bogów i samego siebie, pływających jak pęcherze na szarej polewce tej bardzo pospolitej Rzeczypospolitej krakowskiej. — Dziś ta rasa prawie jednak zupełnie wymarła, towarzystwo wzajemnej admiracyi, bardzo kiedyś rozwielmożnione, oddało im wieczną przysługę i nie wróciło z cmentarza. Bo to także do legend należy, jakoby ono żyło i w czynnej znajdowało się służbie. Nieraz mi za niem tęskno, boć przecie miało ono jakąś spójnię i wytworzyć mogło siłę, rzadką w Polsce, a na lepszych opierało się warunkach, niż Towarzystwa wzajemnego czernienia się, które także swoją posiadają organizacyę. Posłuchy o tej wzajemnej admiracyi brzmią już dziś prawie, jak baśń, dolatująca echami ze złotej, zamarłej epoki; niedługo, choć może nie wojna wszystkich z wszystkimi, to gorsza od wojny obojętność wszystkich dla wszystkich rozwielmożni się w tej opróżnionej dziedzinie. Zamiast zwartych szeregów, mamy też prawie na wszystkich polach tyralierkę, która łatwo w rozsypkę zamienić się może. — I tylko od czasu do czasu, jakby dla przypomnienia, że tam, gdzie smoka zabito, urodzajnym jest grunt dla tytanów, błyśnie przed nami, jak meteor, zjawisko wielkiego człowieka, nowego zakroju i ustroju. Jest to kategorya geniuszów obiecujących, obiecujących do ostatniej chwili żywota. Społeczeństwo tak jets spragnione wielkich ludzi, że bierze to prywatne postanowienie zostania wielkim człowiekiem, zrodzone w duszy tajnikach i w myśli utajone, za najlepszą monetę i z nieograniczonym kredytem firmy takie przyj-

muje. Ich milczenie biorą za zamilczanie arkanów, lub za medytacyę, ich słowa za czyny. Są to Heinowscy *geistige Schuldenmacher*, przyjmujący owacye

Von dem Publico auf Pump.

I takiemi zaliczkami na przyszłą wielkość i wielkie czyny można jako tako potrzeby swe domowe opędzić. Bo obok geniuszów bez teki prosperuje u nas rasa geniuszów bez pracy, którzy rosną na drożdżach słów i ufają stanowczo słowom poety, że człowiek siłą rzeczy wyróść może na wyższych celach, lub nawet tylko ambicyjkach.

Es wächst der Mensch mit seinen höheren Zwecken.

Do roli jednak potrzeba kostyumu. Wielcy ludzie miewali zawsze swoje słabostki. Tak łatwo tedy pozszywać sobie z tych słabostek togę kandydata, Cezarowskie *veni vidi vici* umieścić w alkowie, a Aleksandra Wielkiego znaleść przy butelce. Wielkość naszych Alcybiadesów postępuje często za nimi w postaci psa z obciętym ogonem, a na tym ogonie, którego niema, hipotekują się nadzieje podziwiającego narodu.

Ale że zawsze staruszkom na obiecujących młodzieniaszków patrzeć miło, że nawet takich okazów dziś niewiele, spoglądam więc na nich z pewnem upodobaniem. Bo ostatecznie wiara społeczeństwa i wiara w siebie cuda stworzyć może. *Il avait tant fait les mines, qu'il croyait la chose*, powiedział autor francuski ośmnastego wieku, a przysłowie niemieckie głosi, że wraz z nadaniem urzędu Pan Bóg rozumu przymnaża. Dla Magdalen żeńskich są osobne instytucye, czemużby więc dla męskich w stanowisku publicznem nie było sanatoryum i przystani zbawienia?

Zresztą przy spowiedzi chętnie wyznaję, że o wiele z dawnej mej pychy spuściłem. Durzą mnie wprawdzie tytułami Aten nad Wisłą, ale tych Aten narosło tyle w Europie i nad Spreą i nad Izarą i na innych punktach, że tytuł spospolitował się nieco. Zakrój oryentalny Krakowa zresztą nie same czysto ateńskie wykazuje rysy. Przytem sukcesa te kałamarskie, papierowe i malowane, prędko się przejedzą, to też tęskno mi do silniejszej i pożywniejszej strawy. Z morza mierności, które dziś zalewa i Europę i moje niwy, chciałbym, żeby się znów wyłonił mąż, w całem tego słowa znaczeniu, ognisty w słowie i czynie, zestrajający serce z rozumem, mąż, jakim ludzie i bogowie się cieszą. Dość już mi czcigodnych jubilatów, którym się co lat kilka zagląda w zęby i wiosny na skórze karbuje, aby publiczną owacyjką skonstatować, że znów lat kilka przeżyli, że zasługi ich, na lata mierzone, wzrosły znów o kilka stopni nad czy też pod zero. Jubileusze, które zakłócają mój spokój, są owocem monstrualnej naiwności dwustronnej. Kiedy się obchodzi 10, 25 lub 30 letnią rocznicę obywatelskiej czy pisarskiej działalności) chciałbym wiedzieć od kogo świat się dowiedział o dacie poczęcia pierwszego czynu, narodzenia pierworodnej ramoty. Mimo wszelkich „zaskoczeń“ i „niezasłużonych“ owacyj pewnym być można, że inicyatorami przeważnej części jubileuszów są sami jubilaci. Oni najlepiej znają historyę nowożytną ostatnich lat i to w dodatku swoich, oni jedynie z drobnostkową akuratnością zmierzyć mogą wezbranie swej czcigodności, że aż się przez usta przelewa. Jest to także zabezpieczenie dobre od wypadków; śmierć zawsze niepewność chowa w swem łonie, a żywe słowo jubilata bywa bardziej przekonywującem od zagrobowych apelacyj do łaski. Biada wprawdzie naro-

dom, które kamienują swych proroków, ale tu mowa o prorokach większych, którzy nie byli tylko prorokami *in patria* lub wśród swoich najbliższych. *La postérité commence à la frontière* — mówił dowcipnie wiecznie podróżujący stary Dumas.

Wpadłem mimowoli w ton nieco zrzędzący Galicyan, gdy mówią o własnym kraju, że to jednak spowiedź, więc jestem poniekąd usprawiedliwiony. Bo zresztą zrzędzenia nie lubię i wolę ludzi, którzy podnoszą sprawiedliwie, co u nas dobrego się dzieje. Ciągłe gderanie, jak u nas w modzie, jest tylko wyznaniem własnego niedołęstwa. Gdy ci się co niepodoba przyłóż rękę do poprawy, a nie kwaś siebie i drugich, bo to wygodne, ale i bezpłodne. Ciągła krytyka nietyle świadczy o energicznym rozumie, jak raczej o bezsilnej woli. Gdy się kilku Polaków zejdzie, Galicya bywa strawą najczęstszą; urządza się ją bezlitośnie, jest to artykułem mody i szyku. Zdawałoby się, że swobody pierwszym wyrazem jest wolność negacyi i kwasu, że na to się ma urzędników, kość z kości swojej, aby im te kości łamać dowolnie. Jest w tem wiele tradycyi dawnej Rzeczypospolitej, wiele safandulstwa, a przedewszystkiem impotencya złego humoru, jałowego, jak każdy kaprys. Sport to ulubiony w Galicyi, a mocno dziwny i śmieszny w ustach Polaka, który wie, niestety, co o miedzę się dzieje, a kala i brudzi gniazdo, w którem mu czuć, myśleć i oddychać wolno. To też tę spowiedź o pysze skończyłem wycieczką na fałszywą pokorę, fałszywą, bo krytyka, ze złego humoru płynąca, jest także pyszałkowatością, rzucającą wielkie słowa, którym nawet drobne czyny nie towarzyszą.

„CZAS” Nr 15 z d. 19 Stycznia 1893 r.

II.

ŁAKOMSTWO.

Czego ja pożądam? Pytanie to bardzo drażliwe o tyle, że łatwiej z grzechów się spowiadać, niż z żądz i pragnień, a pragnień, którym nie uczyniono zadosyć, po prawdzie wstyd wielki. Bo choć się nie jest w kwiecie wieku, zawsze się jest:

Zu jung, um ohne Wunsch zu sein.

Oświadczam jednak naprzód kategorycznie, że cudzej żony nie pożądam, bom stary i świątobliwy; cudzego osła nie, bo mam swoich podostatkiem. Długom pożądał cudzej, regulickiej wody, ale wytrzeźwiałem, choć mnie tą wodą nie oblano. W końcu lepiejby może było, żeby z wielkich rezerwoarów piwa, znajdujących się po różnych kątach rynku, piwociągami rozprowadzono napoje w mieście. Bez wody do mycia już się tam jakoś człowiek obędzie, picie jednak ważniejsze. A że w Regulicach wody mało, możeby na łukach i dla tamtejszych mieszkańców boski ten trunek poprowadzić warto. Pływałby wtedy Kraków w piwie, już nie metaforycznie, jak dotychczas, a Appius Claudius Ślepy, założyciel rzymskich wodociągów, w grobie z zazdrości by się obrócił. Pokazałby on natenczas komisyi wodociągowej odwrotną stronę medalu, a przecie dbać ona o to powinna, żeby ojca swych marzeń i myśli poznać wszechstronnie. Mówiono z innej strony, że innym sposobem wyjścia z trudności byłoby, gdyby potoki słów i całą wodę przemówień w dyskusyi dotych-

czasowej ujęto w rury i rozprowadzono po mieście. Byłaby to trochę ciepła woda, ale obfitość nagrodziłaby jakość.

Pożądam dalej również od dawnego czasu kanalizacyi, ale dotąd nie widzę wśród ojców miasta ani Herkulesa, któryby wpuszczeniem Rudawy chciał wyczyścić Augiaszową stajnię, ani Tarkwiniuszów, których nieśmiertelność po części na założeniu rzymskiej kloaki spoczywa. Moi ojcowie wolą śmiertelność i to wielką bez kloaki. Tyle pokoleń wąchało przecież i żyło, niech więc i dalsze wąchają i wymierają. A brak tego, co według cesarza Wespazyana nigdy nie cuchnie, usprawiedliwia w sumieniach utrzymywanie rzeczy, które cuchną. Są to więc z mej strony *pia desideria*, w jakie obfitować musi stolica dziewic i dewotek. Rajcy jednak miasta, któryby pod tym względem uczuł w sobie Herkulesowskie zakusy, obiecuję przyznanie przydomka *Cloacinus;* wygląda to niepięknie, ale niechaj się on tego nie wstydzi, bo już w starożytności nosiła to miano pewna bardzo piękna pani, która się zwała Venus, a nie odstręczało to od niej ani wielbicieli, ani poetów.

Tylko że znów rachuję na wielkie ambicye, a na tym punkcie przerachowywuję się zawsze. Bo moje łakomstwo ku niżej zawieszonej zdobyczy pożądliwe zwraca spojrzenia. W dusze mych młodzieńców wszczepiają od dzieciństwa pragnienie laurów wygodnych, *dulcis sine pulvere palmae,* laurów, któremi państwo wieńczy wychudzone skronie swych służebników. Będziesz pożądał pensyi rządowej, oto przykazanie, które się daje jako hasło na drogę życia. Ciężko po prawdzie nieraz dojść do tego, młodość musi wskutek tego zejść nieraz na ciągłej i nieustającej żebraninie uwolnień, stypendyów, protekcyi, świadectwo ubóstwa kładzie się jako podwalinę pod gmach

życia, ale cel jest taki promienny, że można przecież ryzykować, aby na drodze duma nieco wyszarzała. Pensyjka rządowa, często równająca się ubezpieczeniu od śmierci, usprawiedliwia te wszystkie wysiłki. W ten sposób urywa się łeb hydrze za młodu, ale też potem brak sił, aby dusić centaury. Ile prawdziwych talentów i zdolności do innych zajęć marnuje się na tej ciernistej drodze do równie ciernistej przyszłości, obliczyć niepodobna. Szlachetczyzna jakby przejęła naród cały i wstrzymuje go od prawdziwej walki o życie; walka o życie zamieniła się w walkę o dygnitarstwa i to straszliwie nieraz drążkowe. Dla senatorów rzymskich wszelki handel i przemysł uchodził za rzecz hańbiącą; u nas społeczeństwo tak się tą odrazą przejęło, że niedługo całe pójdzie w senatory.

Mówiono mi, że szlachta, która przez trzy generacye nie czerpie z kas państwowych, musi uledz zniszczeniu i ruinie. Chciałbym jednak wiedzieć, jakie owoce zostaną po generacyi, która o źródłach państwowych jedynie marzyć umie i niema odwagi zerwać się na przyrobienie majątku własnego i narodowego. Takie pensyonowane społeczeństwo w podobny sposób dogasa, jak pensyonowani urzędnicy, żyje nie z dnia na dzień, ale z miesiąca na miesiąc, którego pierwszy cienkim kapuśniaczkiem papierowym je skrapia. To też to łakomstwo tuzinkowe, tandetne, żyjące za kwitem należycie ostemplowanym, obmierzło mi już niepoślednio. Chciałbym jakiegoś powiewu świeższego, któryby rozdmuchał iskry szlachetniejsze, a z drugiej strony wygonił przekupniów ze świątyni. Świątynią tą jest szkoła humanistyczna, do której wszystko się ciśnie, bez względu na to, czy żołądek strawi podaną mu strawę, o ile nowy katechumen będzie zdolny dla innych ją przy-

prawiać. *Ne sutor ultra crepidam*, przypominać trzeba naszemu społeczeństwu, jeżeli się nie chce, aby ono chodziło niedługo bez butów, a miara krawca tam się rozwielmożniła, gdzie Fidyaszowa miara powinna być w użyciu, lub przynajmniej w aspiracyach.

Nie chciałbym, aby mnie kto posądził, że gderam i przeciwny jestem postępowi rodzin i ludzi ku wyższym szczeblom i szczytom. Chodzi mi tylko o słuszniejsze ocenienie ideałów i o napiętnowanie złego, które płynie po części z antydynastyczności mojego społeczeństwa. Któż u nas po ojcu bierze zajęcie i rzemiosło? A przecież dziedzictwo i atawizm mogłyby tu wyjść tylko na pożytek ludzi i społeczeństwa. Syn kupca chce być panem, syn szewca zamienia szwarc na atrament, syn uczonego lub sam uczony pióro na lemiesz, a wreszcie przychodzi najsmutniejsza metamorfoza: lemiesza na pióro, dokonana najczęściej pod natchnieniem i naciskiem egzekutora. Bankrutom, byłym właścicielom ziemskim, jak się oględnie u nas wyrażają, zawdzięcza też nasza literatura wiele już przyczynków, czerpiących natchnienia nie z roli, ale z tego, co boli. Bankructwo stało się u nas zwykłym *gradus ad Parnassum*. Powstają tak bukoliki *sui generis*, pisane na temat: „jak ciebie trzeba kochać, ten tylko się dowie, kto cię stracił“.

Poruszyłem ten nasz płodozmian społeczny, który się odbywa co pokolenie, a często na jednych i tych samych ludziach, płodozmian, który jest do plondrującego gospodarstwa niezmiernie podobny. Wszystko zaś, co tu powiedziano, ma ten sens, że dzielny szewc jest dużo znakomitszą i szacowniejszą osobistością od tuzinkowego pisarka, czy biuralisty, a zawiera przypomnienie, konieczne dla naszego społeczeństwa, że gwiazdą przewodnią

dla człowieka nie powinna być gwiazda na kołnierzu, że Pan Bóg dał ręce człowiekowi do roboty przedewszystkiem, a w ostatnim dopiero rzędzie do walania ich atramentem.

„CZAS“ Nr 17 z d. 21 Stycznia 1893 r.

III.

NIECZYSTOŚĆ.

Nieczystość jest rozmaitego rodzaju, a wszelkich rodzajów nieczystości dostać u mnie można. Jest naprzód nieczystość ciała, którą w Krakowie może z korzyścią dla duszy praktykuje się i rozumie literalnie; ponieważ ta w pierwszym rzędzie i w dosłownem tego słowa znaczeniu zasługuje na mydło, zaczynam od niej. Jest to rzecz nieestetyczna, ale w mieście archeologicznem może otrzymać szlachetniejsze miano. W Krakowie tedy nazywa się ona p a t y n ą, zarówno na murach, pomnikach, jak na rękach, paznokciach itd. Ma się też dla niej powszechnie wielkie uszanowanie, jak obcowanie z moimi mieszkańcami przekonać może. — Zrobiono dziś na Zachodzie niby wielkie odkrycie, że wrażenie zmysłowe nie j e d e n zmysł odbiera, lecz że i inne zmysły uboczne drgają przy ich przyjmowaniu; w krajach wielkiej newrozy stwierdzono, że przy słyszeniu dźwięków, oku równocześnie przedstawiają się jakieś barwy, że dotykanie także wywoływuje wrażenie kolorów. Żeby mnie się spytano, tobym im jeszcze powiedział, że czy idę na koncert, aby uszom dogodzić, czy do teatru, aby spektaklem oczy nacieszyć, zawsze mój zmysł powonienia poczestną swoją cząstkę odbiera. Pod tym względem jest więc Kraków wdzięcznem polem dla tego rodzaju doświadczeń. Że te jego właściwości mogą w danym razie uchronić od pewnych zboczeń duszy, powszechnie jest wiadomem; nie-

ma więc ostatecznie złego, coby na dobre nie wyszło. A zresztą już przez sam respekt dla sędziwego wieku uchodzę u ludzi za świątobliwego i cnotliwego. Jest w tem coś prawdy; czy jednak moje motywa są zupełnie doskonałej natury, to inna sprawa. Molière powiedział o jednej pani: *Et l'on sait qu'elle est prude à son corps défendant.*

Ale ostatecznie żadnym sybarytom nie wglądać w tajniki mej duszy! Mogą się oni żalić, żem nudny, mogą plotkarki usychać z tęsknoty za skandalikiem, zamierać śmiercią głodową wskutek zastoju interesu i braku strawy pożywnej, jednak najpiękniejsza córa Francyi, a i ja także dać więcej nie mogę nad to, na co mnie stać. Że jednak myślą niekiedy zgrzeszę, wyznaję to z pokorą.

Mógłby mi jednak znów kto zarzucić, że się chwalę, krótko więc zaznaczywszy tę względnie dobrą stronę, przechodzę do innych nieczystości. Jest przedewszystkiem u mnie pewna nieczystość przekonań. Są u mnie niby obozy i stronnictwa jak w każdem zdrowem społeczeństwie istnieć powinny, ale co na ich sztandarach wypisano, tego dojrzeć nie mogę. Są one zawsze tak różnobarwne, że główną barwę odróżnić w nich trudno. Stronnictwo liberalne w wielkich swoich akcyach zapożycza zawsze kilku szlachciców „do wyjazdu,“ miewa też stale swoich kapelanów i to wszystko razem naprzód maszeruje przy odgłosie bębnów, w których głosach cały ten obóz szczególne ma upodobanie. Konserwatyści za to mają wybitną skłonność do flirtu, do wątpliwych kompromisów, kokietując na prawo a jeszcze smętniej na lewo mają oni szczególne upodobanie do wprzęgania w swój rydwan rumaków z cudzej stajni, które też systematycznie wyciągają ich w pole albo do rowu. Kiedy się na to patrzy, przypominają się słowa sławnego Giboyer'a z nieśmiertelnej Augier'a

komedyi: *Ces gaillards là ne savent verser que les voitures qu'ils conduisent, mais qu'ils les versent bien!*

Zapanowało u nas przekonanie, że krzyżowanie pojęć jest taksamo zdrowem, jak krzyżowanie ras; a ścieranie się przekonań, które jest warunkiem wszelkiego postępu, doznało u nas takiej koncentracyi, że w jednej i tejsamej mózgownicy najczęściej się odbywa. Dlatego człowiek, niby porządny, bierze do ręki piśmidła, gdzie jego najbliższych przyjaciół (!) obryzgują błotem, lubuje się w humorystyce, w której kalumnia zastępuje dowcip, a wietrzenie nieustanne brudów u bliźniego odsłania tajniki duszy tych nieznanych rycerzy, którzy z za płota strzelając, widzą wszędzie „obraz i podobieństwo swoje.“ — Powstaje z tego wszystkiego niewątpliwie nadzwyczajna wielostronność, nadzwyczajna szerokość pojęć, głowy zamieniają się w bazary dla wszelkiego rodzaju tandety. Tak to przecie miło i wygodnie być dobrze ze wszystkimi, taka to idylla pełna miodu i ciepłej wody, zapewnia ona błogi spokój w życiu i suty pogrzeb po śmierci. Solon wprawdzie wyganiał takich ludzi z miasta, a Arystoteles twierdził, że człowiek jest zwierzęciem politycznem; ja jednak mógłbym mu pokazać różne niepolityczne zwierzęta. Wielostronność nasza pamięta, że nietylko *nihil humani*, ale też *nihil politici* od ideału człowieka nie powinno być *alienum*.

Credo wiary i *credo* polityczne składają się zwykle ze samych zdań głównych; u nas słówka o t y l e, o i l e, a l e d o p e w n e g o s t o p n i a i t. p. nadzwyczajnie ożywiają oschłość tego rodzaju tekstów. Jest to nieczystość przekonań, której żadne mydła historyi nie zmyły. Gdy się też przysłuchiwam rozmowom politycznym mojego

grodu, zdziwiony jestem często rozczulającą świeżością i dziecięcością myśli Dziecko zapytane, czy woli ciocię, czy wujaszka, odpowiada najczęściej, że woli i ciocię i wujaszka. Moi tedy politycy wolą częstokroć i tych, co prowadzą na prawo — i tych, co ciągną na lewo. Nikomu przytem krzywda się nie dzieje, a wśród miłej konfuzyi dla każdego ciepły znajdzie się kącik.

Wer vieles bringt, wird manchem etwas bringen
Und jeder geht zufrieden aus dem Haus.

Pewną pokrewnością z tą miękkością przekonań połączona jest miękkość w sądach. Jest pewne sądownictwo prywatne i towarzyskie, które ma swe uprawnienie, ale powinno też mieć swoją egzekucyę. Tymczasem u nas sądzi się ludzi zapamiętale, ale niema egzekucyi t. j. dosyć odporności wobec wszystkiego, co brudne, dwuznaczne lub nawet niedwuznaczne, co nie zasługuje na to, aby się o to ocierać i walać. Tolerancya czy safandulstwo są wielkiemi klapami bezpieczeństwa dla indywiduów, których miejsce jest przed drzwiami. Przesadna miłość do zbłąkanych owieczek utrzymywa je na wolnej czy nawet swywolnej stopie, a miecz Damoklesa wisi wiecznie nad niemi i nigdy nie spada. Z r o b i ł t o a t o, a l e z r e s z t ą m i ł y i d o b r y c z ł o w i e k — jest u nas ulubioną formułką, która daje absolucyę, nawet bez żalu doskonałego i obietnicy poprawy. Bo rasa Samarytan dla oddziału moralnych chorób strasznie się u nas rozwielmożniła i zanieczyszcza swymi klientami powietrze.

Do nieczystości zaliczyć wreszcie wypada brak dokładności w robotach, czasie i miejscu, przeciwieństwo więc tego, co Niemcy trafnem mianem *Sauberkeit* nazywają. Pod hasłem: m n i e j w i ę c e j

„mniej więcej“ staje się dla nich normą i busolą życia. Chcesz jechać na kolej, usłyszysz niewątpliwie odpowiedź, że pociąg mniej więcej o tej a tej godzinie wychodzi, umawiasz się o termin znowu to czarodziejskie słowo daje ci wolność ruchów czy czekania przez 24 godzin zegara; — w pytaniach egzaminowych wtrącenie miłego mniej więcej prosi formalnie kandydata, aby dawał mniej a nie więcej. Formułka ta okropne robi spustoszenia w całem mojem życiu społecznem, z tych wszystkich „mniej więcej“, nagromadzonych wśród życia, urasta z biegiem czasu wcale pokaźny deficyt, pod którego ciężarem ugina się społeczeństwo. Niema miasta, w któremby od zegarów, bicia i wytrębywania godzin tyle było rejwachu, co w Krakowie; effekta się też zużyły, wrażliwość stępiła, a rasa dziewic niemądrych, co nie wiedzą dnia ani godziny, krzewi się bujnie w mych murach.

Jest jeszcze innych nieczystości wiele, które jednak raczej przed inne kratki pójść powinny, jak przed kratki konfesyonału. Wespazyanowskie *non olet* przeniesiono u nas jeszcze do innych lokalów, wyżej w hierarchii położonych, niż te, które cesarz jedynie miał na myśli. Smutno mi tedy, że u nas nie dosyć często i nie dosyć konsekwentnie poucza się takich praktykantów, czem właściwie takie sprawki pachną. Cóż, kiedy stoją za nimi, jak opiekuńcze anioły, zamazywacze z profesyi z całą apteką plastrów, które nie goją, lecz osłaniać mają rany przed bardzo pożądanym wzrokiem sędziego. Mecenasi to sztuczek bardzo niepięknych, którymbym rad dał po palcach, przez które wiecznie na wszystko chcieliby patrzeć.

„CZAS“ Nr 19 z d. 21 Stycznia 1893 r.

IV.

ZAZDROŚĆ.

Długosz pono powiedział kiedyś, że to główna wada Polaków. A czy odtąd stosunki się zmieniły? Los nasz wprawdzie tak mało jest do pozazdroszczenia, że na zazdrość prawie miejsca nie staje; wyrodziła się nawet między częściami dawnej Polski pewna zazdrość negatywna. Każda z nich ma ambicyę i pretensyę, że w niej najgorzej się dzieje i zawiści niecomal sąsiadowi gorszej w tej mierze reputacyi. Galicya zaś, której obecnie jaśniejsze zaświeciło słońce, czerni się w korespondencyach i artykułach, przesyłanych do pism zagalicyjskich, jak może, chcąc chyba dowieść koniecznie, że cierpi pod obuchem własnych rodaków. Kampania ta w pewnych uszach i kołach najwdzięczniejszy też znajduje odgłos i posłuch.— Czas byłby jednak największy tego exportu brudnej bielizny nieco zaniechać; jest to wprawdzie jeden z rzadkich towarów exportowych kraju, ale pranie domowe ze wszech miar byłoby korzystniejszem.

Przejdźmy teraz do zazdrości pozytywnej. Czy ona jednak u nas istnieje, to pierwsze pytanie. Znam ja natomiast pewne uczucie kwasu, które jak skromny fiołek bujnie się rozwija w zaciszu tajnem duszy, jest tak jałowem i wyjaławiającem, tak biernem w czynie, a obfitem w myśli i słowa, że zazdrości takiej pozytywną nazwaćbym nie śmiał. Wyrób takiego platońskiego kwasu od-

bywa się u mnie na wysoką skalę, a gatunków jego jest tak spora liczba, że stosownie etykietami je opatrzyć nie przychodzi człowiekowi łatwo.

Od czasu, jak ludzkość się rozmnożyła, zawsze bliźni bliźnim się zajmował, było tak po wszystkie wieki i działo się na wszystkich miejscach. Ale ten interes dla bliźniego stał się jednak w moich murach zbyt gorącym, wywołał całą szkołę kronikarzy, którzy wiecznie rejestrują szczegóły z cudzych biografij, wyszukiwują po ulicach i salonach drobne i niedrobne fakciki, mające wzbogacić ich wiedzę i dostarczyć świeżej, pożywnej strawy. Dostawa oczywiście nie może odpowiadać gorliwemu popytowi; dlatego też dziwię się zawsze, jak jedno i tosamo zdarzenie przez dłuższy przeciąg czasu opędzać musi duchowe potrzeby moich mieszkańców, jak się je nicuje na wszystkie strony, ogląda z coraz nowego punktu widzenia, jak się podaje tę samą potrawę z coraz nowemi przyprawami, aby jeszcze podniecić znudzony tożsamością apetyt. Tam, gdzie jedną strawą wielu obdzielać trzeba, powstać może łatwo zły humor, to też te biesiady nie miewają bynajmniej nastroju chrześciańskich agapów. W końcu biedną ofiarę, która w niczem nie zawiniła, lecz powzięła np. jakąś myśl śmielszą, wyszła na chwilę ze starej, utartej kolei, lub choćby tylko ożenić się postanowiła, obgryzie się doszczętnie, ale to prawdziwie do kości i jeszcze z tą kością lata się od domu do domu, aby utruć *tarde venientes*, którym już niewiele pozostało do zrobienia. I dzieje się to wszystko w imię interesu dla ludzkości, z zapałami i hałasem gęsi kapitolińskich, jakby na prawdę Kapitolowi groziło jakie niebezpieczeństwo, a ostatecznie o to tylko chodzi, że ktoś zdobywający się na krok naprzód w życiu gęsi o pozwolenie nie prosił. Jestto objaw najpowszedniej-

szy kwasików krakowskich, wywołany potrzebą świeżej, codziennej strawy dla tych, których skrzydła opiekuńcze miliony obejmować potrzebują w imię zasady, że nic ludzkiego człowiekowi obcem być nie powinno. Gęsi kapitolińskich, równie czujnych i żarłocznych, nie spotkałem.

Inne kwasy sięgają już jednak samego Kapitolu, a zaczniemy od tego, który dzieli społeczeństwo na arystokracyę i demokracyę. Kiedy na zachodzie ważne problemy socyalne zajmują ludzkość, stosunek kapitału do pracy, u nas tymczasem po staremu dawne, zużyte i zwietrzałe hasła, niemające żadnego znaczenia w nowoczesnem społeczeństwie, padają, jak gromy, pełne huku i stuku, a zawsze jeszcze staje wróbli, którym od tego mąci się po głowach. Jest to spirytystyczne zajęcie, wywołujące duchy przeszłości, duchy bez ciała, albo o ciele salonowem, bardzo marnem i wątłem. Nazwiska bez znaczenia dawniejszego pokrywają też Bóg wie co, najczęściej nie wiedzieć co. Po namyśle jednak zdaje mi się mocno, że arystokracya oznaczać ma rząd, wszelkiego gatunku przełożonych, wybitniejsze stanowiska w kraju, większe pensye i t. p., demokracya mniej wybitne stanowiska, mniej pokaźne pensye i t. d. O ile w to dalej wchodzą kwestye często prywatnej natury, salonów, surdutów, mydła, rozbierać nie chcę, bo nie mam wzroku i czasu dla badania tych odcieni. Ale do rozdziału społeczeństwa niewątpliwie i to się przyczynia, co autor francuski nazwał dowcipnie *struggle for high life.* Armaty te, demokratyczne i arystokratyczne, dawno na zachodzie wyranżerowane, wyjeżdżają tedy w pewnych okresach w pole, narobią dużo dymu, durzącego uboższe umysły, a na polu pozostaje swąd okrutny bez trupów. Ale czy to dla społeczeństwa zdrowem, aby takiemi ożywemi,

czy martwemi obrazami z przed stu lat, takim retrospektywnym turniejem bałamucić chronicznie umysły, aby szablami, zardzewiałemi po muzeach i śmieciskach, wywijać po powietrzu, to inne pytanie. Kwas sfermentowany nie może przecież stać się fermentem dla dobra społeczeństwa. — A jednak takim napojem pije się u mnie niekiedy na zdrowie, nawet na zdrowie Polski. Są u mnie pewni pachciarze patryotyzmu, u których ten kwas opędza potrzeby serca i wezbranych uczuć przy narodowych obchodach. Wzięli oni w pacht całą cnotę narodową i rozum; dotychczas mówili ciągle o siermięgach i oświacie ludowej, teraz nowa misya przypada im w udziale, opieka nad zwierzętami klas przodujących. Przy tak rozlicznych zajęciach, takiej gorliwości na dwa fronty, można o własnej oświacie i etyce na chwilę zapomnieć. Wśród zwierząt etycznych siada tedy nowoczesny Orfeusz, aby śpiewać nieowidyuszowskie Metamorfozy, *mutatas dicere formas*, w których Stańczykom rogi i ogony wyrastają, aby ich pouczać, przez jaką to reformę mogliby się odzwierzęcić stopniowo, aby nucić pieśń o idei, którą on i jego stronnicy wzięli w wyłączną arendę. Kto na ziemi tej marki nie nosi, jest człowiekiem wyzutym z patryotyzmu i wszelkiej szlachetności, stoi na niższym stopniu ewolucyi, słowem, aby użyć pięknego wyrażenia poety, jest zwierzęciem.

Przychodzi do tego silnie u nas rozszerzona mitologia finansowa, która snuje legendy o narodowych Krezusach i Rampsynitach, widzi straszne mary w swoim Elizyum; nie cienie, lecz ludzie zatyli wśród sadła i bogactw, przesuwają się jej przed oczyma i straszą jej bogatą wyobraźnię. Nie ma pewnie drugiego społeczeństwa, równie ubogiego na świecie; nasi zjadacze chleba prawdziwie o chleb powszedni dobijać się muszą i

oglądają się z pożądliwością za tymi, których namaszczone Katony ostrzegają przed zatłuszczeniem serca i uczuć. — Lubię ja lekcye patryotyzmu, bom się ich wiele nasłuchał, i to pięknych; ale nie wierzę w tych apostołów, którzy dla swych miłości jedyny mają upust w inwektywie na własnych rodaków. Kadząc ojczyznie, zawsze się oni postarają o to, aby dymem osmolić pewną cząstkę wiernych. Z błota jednak złota się nie robi; są to patryoci-specyaliści, a ja radbym przynajmniej to pole od specyalistów ochronić. To też wyznaję, że przemowy, które niedawno w mych murach słyszałem, mało mnie zbudowały; były też one szczególniejszą namaszczone, czy omaszczone etyką. Zdaje się, że przy ogólnem zakażeniu krakowskich źródeł, nawet Hippokrena silnie sfermentowała; a bardziej jeszcze razić może, jeżeli z trybularza z „dymem wonnych cygar“ idzie swąd antyspołeczny, a przytem pluje się na konserwatystów i wyższe stany. Nie napróżno na odrzwiach krakowskich kościołów czyta się przestrogę, upominającą wiernych, że nie należy pluć w domach Bożych. Stosuje się to nawet do arcykapłanów patryotyzmu.

Inny znów kwas na pozór jest pozytywniejszym, bo czepia się stanowisk; bije się więc w nie taranem, jednak nie w tym celu, aby je zająć, bo na to nie starczy ambicyi ani energii, ale ot tak sobie, żeby sobie ulżyć, a utrapić bliźniego. Kiedy ktoś wybije się na wierzch, krząta się gorliwiej koło publicznej sprawy, powstaje zaraz niezadowolenie dusz nurzających się rozkosznie w błogim spokoju i tożsamości; pierwsze też pytanie nasuwa się zaraz większości, jaką to pieczeń prywatną ma on na oku i celu. Podsuwa się więc ludziom ruchliwszym tysiąc motywów ubocznych lub pospolitych, nicuje się ich życie domowe, aby

publiczną ich rolę obrudzić, depce się im po nogach niemiłosiernie. Praktykował to wobec ludzi wybitnych z powodzeniem siostrzeniec wielkiego Rameau; *cela nous rapproche,* powiadał, *j'en supporte plus aisément ma médiocrité* Zazdrość jest też największą poplecznicką równości, zrównania dusz w pospolitości motywów. A jeżeli wśród publicznej karyery komuś przypadnie w udziale świetniejsze stanowisko, niema już końca huku na protekcye, serwilizm, zaprzedanie. Przypominam sobie sokratejską czy znowu platoniczną ironię, z jaką się niedawno wyrażano o ministrze rodaku. Że podobnie jak z innych prowincyj, tak i z Galicyi kilku ludzi dostało miejsca w radach kolejowych, wietrzono w tem coś, co miałoby donioslość i znaczenie Panamy, czy nawet Targowicy. Występują tu na jaw cnoty i sromania prawdziwie spartańskie, tęsknota za czarną polewką, któraby wszystkich przy jednym łączyła stole. Czy jednak w gruncie rzeczy krzyki ztąd często nie pochodzą, że samemu czarną polewkę ze łzami spożyć przyszło, rozsądzić nie umiem.

Najbrzydsza to strona ludzkości zazdrość i mówić o niej nie miło; Pascal już pono powiedział, że do każdego grzechu chętniej się człowiek przyzna, niż do tego. Wietrzy ona wszędzie ponad sobą uzurpacye, a u siebie niesprawiedliwość losu w poniżeniu, rujnuje też dlatego hierarchiczność w społeczeństwie, poszanowanie dla wszelkiej wyższości moralnej i społecznej. Aby się wspiąć i wywyższyć, ubiera się ona w tytuły, które jej nie przysługują i darzy tem publ czność. Kiedy spojrzę na moich mieszkańców, prawie mi się w głowie nie chce pomieścić, zkąd na jednym punkcie i to małym globu tylu dyrektorów, rektorów, prezesów, marszałków, pomieścić się może, oglądam się trwożliwie za nikłą resztą ludności, któ-

rej oni przewodzą, prezydują, rozkazują. Ale czy też te tytuły nie są wytworem samorodztwa, czy to nie miasto samozwańców i zamachów stanu na stan cudzy? Namnożyło się u mnie członków Aka demii z własnej i osobistej łaski, a tytuł ten towarzyszy im nawet wtedy, gdy przekraczają progi prawdziwej, ciemnej nieśmiertelności, każdy suplent bez egzaminu nazywa się u mnie profesorem, taksamo, jak rektor uniwersytetu, prezydujący jednodniowej komisyi wychodzi odtąd na prezydenta dożywotniego, słowem, mnożą się u mnie króle, jak króliki. *C'est une piperie*, mówił o tem stary Montaigne, choć nie znał Krakowa i Galicyi.

Wygląda to trochę na śmieszną zabawkę, ale mnie chodzi o życie, bom wskutek wielkiej liczby prezydentów, dyrektorów i t. p. bardzo źle obsłużony, a głowa mi pęka od Minerw, które co chwilę w pełnej zbroi wyskakują z mojego czerepu. Takie *salto mortale*, choćby tylko tytułowe, bywa śmiertelnem dla ludzkiej pracy i ambicyi, a drabina społeczna, w której wszyscy na najwyższych szczeblach zasiędą, zarwać się może pod ciężarem tych prezydentów... *in partibus infidelium*. Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie — mawiano niemądrze dawniej, dzisiaj i bez zagrody to samo się mówi. Ja mimo tego bardzo dbam o te zagrody i przegrody społeczne i żądam dla prawdziwych wojewodów wyższego stanowiska i poszanowania. Nie lubię tego bardzo, że mniej się patrzy na ich ogólne zasługi, jak raczej notuje skrzętnie uchybienia, których się mogli wobec pojedynczych osobistości dopuścić. Nigdzie te rachunki z taką się nie prowadzą skrzętnością, a urazy osobiste śrubuje się potem do znaczenia *laesae majestatis* narodu. Nigdzie też może niema tyle osobistości, żyjących wyłącznie ciągłą obawą,

aby im ktoś nie uchybił. Są to dygnitarze, stojący wiecznie na odwachu przed samym sobą, a ta funkcya zapełnia ich życie i pochłania całe ich siły.

Rozgadałem się o rzeczy wstrętnej i niemiłej, a ciężko mi było niejedno przepchać przez usta, ale konieczność mówić kazała, bo zazdrość jest rzeczą szkaradną i przyczyną nieszczęścia wielu ludzi. Starożytny jeden filozof powiedział: *nostra nos sine comparatione delectent*, a u nas dotąd życia schodzą na porównawczych studyach. Chociaż wolę filozofów starożytnych, uderzył mnie jednak sąd jednego z najgłębszych myślicieli naszego wieku, który rzekł o zazdrości: *Der Neid der Menschen zeigt an, wie unglücklich sie sich fühlen, und ihre beständige Aufmerksamkeit auf fremdes Thun und Lassen, wie sehr sie sich langweilen.*

„CZAS" Nr 31 z d. 8 Lutego 1893 r.

V.

OBŻARSTWO.

Dzieje moje zaczynają się nieomal od śmierci wskutek przejedzenia. W mieście też, którego najstarsze podania opowiadają o tragedyi smoka wawelskiego i bardzo złych skutkach, wypływających z nadużycia baraniny, ostrożność w tym względzie powinna być na porządku dziennym. A zresztą trudno grzeszyć, kiedy niema z czego. Przecież Galicya cieszy się ustaloną reputacyą wyjątkowej nędzy, a z opisów sądzićby można, że tu bliźni już na bliźniego się rzuca, co też po trochu jest prawdą. Bo antropofagów moralnych wybitne mógłbym przedstawić okazy.

Kiedyś grzech tu wymieniony podobno wielce w Polsce był rozpowszechnionym; portrety przodków rozsadzają dziś ramy obrazów i spoglądają litośnie na słabą w tym względzie działalność skarłowaciałych epigonów. Jedynie Niemcy dzielili z nami reputacyę stołowych bohaterów. Takież oni ożralcy jako i my — mówił Kochanowski we *Wróżkach*, a poprawę obyczajów wyprowadzali wszyscy od włoskiego obyczaju ludzi przybyłych z południa. Objad jednak nazywa się u nas dotąd objadem, co jest niewątpliwie brzydkiem nazwiskiem, a choć pasa nie popuszczamy, bo chuda fara i króla Sasa niema, zachowaliśmy jednak różne niepiękne nawyczki, jak pochłanianie prędkie zamiast jedzenia, używanie rozmaitych morderczych instrumentów przy stole, które zagrażają

życiu własnemu i sąsiadów, zbyt głośne konfidencye przy kieliszku, które wtajemniczają obszerne koła w tajniki rozrzewnionej duszy, a obcych ludzi oszałamiają za granicą. Liryka objadowa kwitnie u nas bardzo bujnie; mamy żołądek i wino czułe, jak mało kto, a zdrobnień pieszczotliwych nomenklatura kuchenna nie mniej wykazać może, jak język miłości i literatura erotyczna.

Mnie starego, który widziałem w mych murach dużo kultury, widziałem wykwintne dwory patrycyuszów o szerokim umyśle i cywilizacyi, bardzo to boli, że po tylu wiekach na tylu patrzeć muszę biedaków, którzy tak źle jedzą i tylu niebiedaków, którzy jedzą tak brzydko. Nędza u mnie nie zmniejsza się i zataić nie mogę, iż pewne organy miłosierdzia bywają tak dyskretne, że nietylko swe czyny, ale nawet skutki swego działania ukrywają gorliwie przed oczyma bliźniego. Co do drugiego punktu, to przypominam, że już w szesnastym wieku śpiewał poeta w mych murach tak piękne zwrotki, jak następna:

Jać radzę, abyś się miał strzedz
Łakomo jako żarłok jeść.
Ściągaj twoje wargi, jedząc,
Jedz cudnie, nie kląskaj żując.

i dawał następnie takie napomnienia:

Wielkich sztuk nie masz ukąsać,
Dwa w gębę naraz nie masz kłaść,
Obrusa też nie masz zmazać,
Ani piersi sobie spluskać... i t. d.

Nauka poszła w las, jak wejście do każdej sali restauracyjnej przekona. Objad pozostał objadem i nie dorósł do tego, co Rzymianie tak pięknie *convivium* nazywali. Mówi się wprawdzie dzieciom: „przy stole jak w kościele“, ale ponieważ

moi mieszkańcy w kościele często mniej przyzwoicie się zachowują, więc to żaden przykład i żadna nauka.

Alem się zapuścił w subtelności, jak dewotka, wyskrobująca zabłąkane grzeszki z ostatnich zakamarków sumienia. A tu o ważniejsze chodzi rzeczy. Apetyt przecież jest ostatecznie oznaką dobrego zdrowia, a jak niektórzy twierdzą, i dobrego sumienia. Jest jednak inny rodzaj apetytu, już wprost chorobliwy, który jeszcze gorszą wywoływa niestrawność, bo moralną. Zwie się zaś on apetytem fałszywym. I o tych apetytach fałszywych nieco w mej spowiedzi wspomnieć muszę.

Złe na człowieka z rozmaitych stron spaść może. Czasem pochodzi ono ztąd, że nosi wielkie nazwisko, miał świetną rodową przeszłość, a z tej przeszłości wyrastają pretensye do biednej teraźniejszości; czasem znów ztąd, że ma większą reputacyę od rzeczywistości, a reputacya zwala na niego ciężary, którym w rzeczy samej nie dorósł. Otóż ja cierpię pod obuchem tych ludzkich pretensyj i urojeń. Byłem wprawdzie wielkim panem i gościłem królów u siebie, ale dziś zostałem po trochu, jak wdowa narodów, marząca o dawnem szczęściu i płacząc nad jego utratą, noszę na sobie dawne szkarłaty, tak jednak stargane, że mimo majestatu zimno mi trochę i chłodno. *Ce sont misères de grand seigneur, misères d'un roi dépossédé*, jak mówił Pascal. Nikomu jednak z góry na mnie nie patrzyć; bo mimo że mi na codzień serce słabiej bije, mimo że nie widzę zwycięskich na ulicach pochodów, stoję jednak na straży grobów, które zawierają kości Tych, których kocha serce każdego Polaka, obcuję codzień z ich wielką pamięcią; mam tu źródło niewyczerpane balsamu, które krzepi uczucia, przypomina zobowiązania godności, uszlachetnia cię-

żką życia powszedniość. — Ale powszedniość ta jest pospolita i małomiejska i to dlatego poprostu, że zewnętrznie do rzędu małych miast spadłem. Tymczasem w niektórych głowach roją się pragnienia, abym był stolicą, kipiał od ruchu, stuku i elegancyi, mnie staremu i zmęczonemu kazano się przebrać w czapkę dżokeja, hasać po błoniach i brać przeszkody, jakbym ja na życia torze przeszkód nie miał podostatkiem. Czasem też mimowoli się zapominam, miewam dnie gorączkowe, w których mi się w głowie majaczy, w których pozuję przed sobą i obcymi, zaprzęgam do mej wyszarzałej kolasy wychudzone rumaki i puszczam wodze im i mojej imaginacyi, aż się wszystko skończy wielką dychawicą koni i furmana. Są to chwile szału, w których miewam dziecinne, czy też zdziecinniałe zachcianki. Następuje po cudnem marzeniu rachunek sumienia i rachunek żydowski, obydwa równie smutne. Bywało więc, że żyłem tak nad stan, a moi mieszkańcy nad stan nic nie robili; pod tym względem mają me mury wpływ nieco ujemny. Bo to, że mi się zostało sporo szat godowych i mebli prawdziwie królewskich, budzi zachcianki, aby żyć po królewsku i chodzić w koronie po mrozie. Po takich próbach zawsze zły humor pozostaje, a poniedziałki są straszne. Mimo wielkich, stołecznych aspiracyj, nagromadzonych w mych murach, szałas na Szczepańskim placu rozkoszy teatru francuskiego dać nie może, a rynek nie jest Place de la Concorde, bo się na nim przekupki kłócą.

Du bist am Ende — was du bist.

Postanowiłem tedy nadal strzedz się bardziej przed zboczeniami lekkomyślności; na życie królewskie środków nie mam, ale, aby czuć po królewsku, na to każdemu natchnienia dostarczyć mogę.

Zwątpiwszy o Gracyach, zapraszają więc Muzy do mego grodu i gwałtem mi każą dla każdej zgotować przytułek i pożywienie. I to znów wywołane fałszywym apetytem, aby Rudawa była Ilissem, Podgórze przedmieściem Kolonos, a ja Atenami. Zawitały więc Muzy do mnie, aż dziewięć panien naraz, z ufnością niezachwianą, opartą na doświadczeniu długoletniem, że się pannom w Krakowie nic złego nie dzieje, że się panną wróci, jak się panną wjechało. Zaczął się flirt na całej linii, flirt, który do żadnych poważniejszych i trwalszych nie doprowadził stosunków. Rozmaicie im się też działo. Terpsychora gniewała się, że jej w żadnym prawie prywatnym domu przyjąć nie chciano, lecz kazano po hotelach kąty wycierać; Erato, Muza miłości, użalała się na brak klienteli, czekała napróżno, jak rosy, jakiej serenady lub madrygału. Kupido jej wreszcie powiedział, że Kraków jest najgorszym z jego rewirów i że tu tylko westchnienia innego rodzaju popłacają. Talia znów rozbijała się po ulicach za polskim humorem; mówiono jej wprawdzie, że główna jego trafika znajduje się na Szczepańskim placu, ale tu znalazła przeważnie towar zleżały, albo też tak gruboziarnisty, że ta sól od soli atyckiej zupełnie jej się wydała odmienną; Klio wreszcie więdła z przesytu, że jej ciągle o metodzie historycznej prawią i utyskiwała na śmiertelne, czy nieśmiertelne nudy na Sławkowskiej ulicy.

Mnie starego jednak te panny na chwilę rozmarzyły stanowczo. Czekałem też niecierpliwie na urodzenie Peryklesa czy Lorenzo Magnifico, czekałem pojawienia się Mecenasów, łudziłem się nadzieją, że sztuki i nauki staną się ulubionem dzieckiem, potrzebą życia mych mieszkańców. Ale ani Perykles, ani Lorenzo się nie pojawił, piekące

i ciężkie potrzeby życia nie dopuściły tej nowej do swego towarzystwa, a przedewszystkiem mimo wielu talentów brakło mi ciągle tych innych talentów brzęczących, któremi Ateńczycy rozporządzali. Panny mi też wychudły i posmutniały niepomiernie. Z Ateńskich marzeń przebudziłem się do twardej rzeczywistości i ujrzałem na moim rynku inne oryentalne postacie, którym nie Apollo Bogiem, lecz Merkury. Powiedziałem więc sobie, że chyba Ateńska godzina jeszcze dla mnie nie wybiła, a te marzenia były przedwczesnym i fałszywym apetytem, że sny o wieku złotym mogą w śnie niezdrowym ukołysać społeczeństwo, któremu jeszcze żelaznej pracy potrzeba.

Z wszystkiego wypada, że więcej pożądać nie trzeba nad to, na co żołądka starczy i co tenże strawić potrafi. I w publicznych pragnieniach ostrożność w tym względzie jest pożądaną, bo przecież już nie jeden kraj i człowiek nie wszystko strawił, co mu podano. Ludziom wygłodzonym trzeba też pono stopniowo pokarm coraz silniejszy podawać, a nie całego barana naraz. W przeciwnym razie mogłaby tragedya wawelskiego smoka powtórzyć się raz jeszcze, a to bądź co bądź śmierć niechwalebna i nieestetyczna.

„CZAS“ Nr 32 z d. 9 Lutego 1893 r.

VI.

GNIEW.

Z tym grzechem krótko się załatwię, a to z tego powodu, że się mało do niego poczuwam. W katechizmie polskim powinien on stać przed obżarstwem, bośmy pono najczęściej przed objadem gniewni. Że jednak katechizm zmieniać trudno, trzeba iść za porządkiem, który uświęcony.

Gniew u mnie bardzo od pewnego czasu zdegenerował i zamienił się po trochu w zły humor, o którym później ze wstydem mówić mi przyjdzie. Gniewu zaś prawdziwego, który może być szlachetnym, a nawet świętego miano nosić, strasznie dziś u mnie mało. Arystoteles podobno gdzieś powiedział, że gniew bywa niekiedy bodźcem i zarzewiem cnoty i dzielności. A ja wyznaję, że w to wierzę i przyznać się muszę, że choleryków lubię i tęsknię za nimi codziennie. Miałem bo ja kiedyś z pewnym cholerykiem bliski, długotrwały stosunek, a mimo częstych sprzeczek, mimo, żem od niego dużo twardych rzeczy się nasłuchał, było mi z nim dobrze dlatego, że przez gniew przebijała zawsze i wszędzie dusza czysta, wspaniała, pełna miłości dla mnie i dla ojczyzny. Wszelkie nieporozumienia rozbrajał on swą poczciwością i podarkami, które mi w dani przynosił. Odtąd też napróżno oglądam się za gromkiem *Quos ego*, jakie z jego ust często wypadało, za biczem, któryby na cztery wiatry rozgonił rozmaite spółki i bractwa, koniecznie przewietrzenia potrzebujące.

Gniew taki i takie pioruny przeczyszczają powietrze podobnie, jak to w przyrodzie się dzieje. To też wszyscy nieomal wielcy ludzie umieli się gniewać, począwszy od Mojżesza, który nawet z rogami zstąpił do swego ludu

Brak mi dziś takiej rogatej duszy, a rasa choleryków wymarła mi, jak się zdaje, zupełnie. Potulność i miękkość w życiu publicznem, zamazująca wszystkie przeciwieństwa, cofająca się przed każdym gromem i naganą, zapanowała u mnie stanowczo, a musi ona prowadzić do mazgajstwa w myśli i czynie. Nie na wiatr mąż stanu dziewiętnastego wieku, który z mistrzowstwem nienawiść i gniew praktykował, rzucił raz z mownicy zdanie, że mężczyzna powinien dobrze umieć nienawidzi ć, powinien być *a good hater*. Zapewne nie po jego myśli zrozumieć to nam wypadnie, ale zawsze pożądanem byłoby, abyśmy wobec niego i jemu podobnych maxymę tę głęboko zapisali sobie w sercu. Brak wstrętu dla wrogich sztandarów, dlatego, co się uważa za niedobre i niegodziwe, płynie zawsze z braku miłości dla swego sztandaru, lub z tego, że się żadnych przekonań niema, lecz luzem biega i rozbija po świecie. Kiedy Lacedemończyk Chilon usłyszał raz człowieka przechwalającego się, że żadnych niema nieprzyjaciół, zapytał się on tegoż, czy przyjaciół posiada, uważając, że te dwie rzeczy są nieodłączne i w parze z sobą iść muszą. Nie lubię też ludzi, którzy ze wszystkimi są dobrze, wszystkich kochają i przez wszystkich chcą być kochani.

Et c'est n'estimer rien qu'estimer tout le monde. Wśród takich serdecznych przyjaciół niema miejsca na żadne zapały ani porywy, a kitem takich związków jest letnia woda, w której nic się nigdy nie zagotuje ani zgotuje.

A nie obroni od tych niebezpieczeństw pewne

sierdzenie się i dąsanina, których w moich murach więcej może, niżlibym pożądał. Dyskusyj krytykujących i krytyk nasłucham się ja nad miarę; życia tu schodzą na tem, że się nic nie robi, bo się ciągle roztrząsa to, co inni robią. A mówi się tak mądrze i tak pięknie, że aż serce rośnie, że rozniecaćby to mogło bujne nadzieje, gdyby trąby Jerychońskie nietylko burzyły, lecz i stawiały miasta. Ale trąby nie dokazały tego nigdy i pono nie dokażą. Uszy mi też więdną od tych bezustannych skarg i utyskiwań, zwłaszcza, że słowni ci krytycy bywają strasznie niesłowni. Zażądaj od którego, aby w gazecie ogłosił, co mu się niepodoba w Rzeczypospolitej, obieca, a nie zrobi, zapewne by nie pospolitować swego zdania. Filipiki tu na to chyba się wygłaszają, aby się o nich Filip nigdy nie dowiedział; wszystkim w uszach dzwoni, ale nie wiedzieć za co i od czego. Dlatego też ja w tych tajnych i pokątnych radców przestałem dawno wierzyć, a mądre ich myśli mało mi imponują, bom się przekonał, że od nadmiaru mądrych myśli aż czasu nie starczy na ich wykonanie. Zapadłem ja na hyperprodukcyę krytyków i ludzi obiecujących poprawę... bliźniego i z tej jałowej gadaniny, która toczy ciała ludzi i instytucyi, a nigdy ciałem się nie staje, przesyt i niesmak pozostaje mi w duszy. Krytykomania krakowska ma swoje odpływy i przypływy, ale te ostatnie nie wpływają na pogłębienie bałwanów. Najpiękniej ona wybujała podczas konkursu Mickiewicza, przy którym naprzód zawezwano do rady słynnych zagranicznych rzeźbiarzy i najbardziej powołane krajowe powagi, potem jednak przypomniało się narodowi, że wprawdzie posągi stawiają artyści, ale garnki także nie święci lepią i postanowiono wreszcie plebiscytem sprawę całą zakończyć. Co było szamota-

nia się, gderania, wyrzekań, istny krytyczny dzień Falba w Krakowie! Zaroiło się zupełnie od estetyków, wyłaniających się nagle z rozbujałych fluktów, każdy wyjeżdzał ze zdaniem, które znajdowało poklask niewątpliwy, jeżeli tylko głos narodowej estetyki z niego przemawiał, a nie jakiejś tam szablonowej ludzi fachowych. Były to dnie, w których miary krawca jakby za dotknięciem różczki czarodziejskiej w Fidyaszowe miary się przetwarzały. Słyszałem wtedy doktora medycyny, wydającego w Sukiennicach wyroki rzeźbiarskie, miażdżące w proch Zumbuscha, Guillaume'a i inne tego rodzaju powagi. Po doświadczeniach lat ostatnich należałoby też może odtąd przy przyszłych konkursach na jurorów samych nieznawców powoływać, bo ci jedynie mają horyzont niezacieśniony formułkami, niezawisłość sądu, czystość uczucia i serce tak szerokie, że aż mózg uciskać może.

Że zdrowa krytyka do życia jest potrzebną, tego nie przeczę; walczę ja też tylko z jej obłędami, a więc najpierw z tym, który zawsze i wszędzie szuka tylko pięty Achillesa, a samego Achillesa podziwiać nie umie. Takich kwaśnych specyalistów od pięty znam ja tu sporo. Nie lubię dalej dyletantyzmu, który lada komu na trójnogu siadać pozwala, durzyć bliźniego i wyrokować bezkarnie o rzeczach, na których się nie rozumie. Uniwersalnych krytyków niemniej się boję, jak uniwersalnych geniuszów. A wreszcie mierzi mnie przedewszystkiem jałowa gadanina, rzucająca wielkie słowa i nieokreślone podejrzenia, a cofająca się zawsze przed dowodami i czynem. Niema miasta, w któremby od lat tak czarne wieści kursowały o niektórych ważnych organach publicznego życia, a mimo tych głosów i przeświadczeń Herkules upragniony nie pojawia się w Au-

giaszowej stajni; to też z dnia na dzień atmosfera staje się duszniejszą i cięższą. Trzeba zaś płuc osobnych, aby w tym swądzie moralnym żyć tak długo i raz porządnie okien nie otworzyć. Ale u nas bywa Plato większym od prawdy przyjacielem i dla świętego spokoju i zgody wymiata się nawet brudy tylko przez długie nocne rodaków rozmowy.

Zboczyłem jednak od przedmiotu właściwego. Krytycy przeważnie, a u mnie przedewszystkiem, są rasą nietwórczą i dąsania także różnią się stanowczo od szlachetnego gniewu, który sławiłem na czele. O ile tamte mnie mierzą, o tyle ten byłby mi nawet pożądanym. — Według świadectwa współczesnego, żądał kiedyś Hieronim Łaski „czegoś od Boga dla większego ciepła Polkom.“ Otóż i dla Polaków tego ciepła niecoby się przydało, słowo przypomnienia, że serce nie dla samych melodramatów jest stworzone, lecz może miewać wyższe porywy. Mimowoli też i mimochodem wpadłem w tę apologią, ale proszę mi wierzyć, że świętego gniewu bronię, a przecież już pismo święte obiecało gwałtownikom królestwo niebieskie.

„Czas“ Nr. 48 z 28 Lutego 1893 r.

VII.

LENISTWO.

Pewien historyk grecki,[1] pochodzący z azyatyckiego miasta Kumae, postanowił opisać dzieje powszechne świata. W postępie jednak pracy przykro mu się zrobiło, że fale historyi tak rzadko potrącały o miejsce jego rodzinne; żal mu było, że nazwisko Kumae tak rzadko cisnęło się pod pióro. Aby więc zadosyć uczynić próżności i parafiańskiemu patryotyzmowi, postanowił on w pewnych odstępach swego opowiadania dodawać słowa, podyktowane przywiązaniem dla ciaśniejszej ojczyzny: W tym okresie czasu Kumańczycy zachowali się spokojnie. Zachowywują się spokojnie także Krakowianie, a boję się, że przyszły historyk uniwersalny, zrodzony w moich murach, do tego greckiego wybiegu uciec się będzie musiał, aby oddać Krakowowi, co mu się należy. Spokój tu rzeczywiście panuje wielki, zrzadka tylko zamącony nową myślą lub niezwykłem zdarzeniem, spokój, który ma dobre strony w mieście pamiątek, profesorów i studentów, ale graniczy o miedzę z pewną martwotą i gnuśnością.

Powiedziano człowiekowi *ora et labora*; pierwszą też część programu wykonywa się u mnie jeszcze jako tako, w drugiej za to widzę u siebie różne niedostatki i braki. Każdego przybysza uderza w pierwszym rzędzie zaraz na wstępie powolne *tempo* życia ulicznego, powolny chód moich mieszkańców. Zdawałoby się, że wszystko tu się

1) Ephoros z Kyme (?405–333): Ἱστορία κοινῶν πράξεων w 30 księgach.

odbywa i dzieje pod hasłem, że nie odrazu Kraków zbudowany, że *Eile mit Weile*, czy nawet *mit Langeweile* stało się dewizą przechodniów. Gdyby też Dante miał kłaść napis na Floryańskiej, a nie na piekielnej bramie, natchnienie bardzo pokrewne podyktowałoby mu wyrazy:

Per me si va nella città indolente.

Nie jestem wprawdzie piekłem, ani Sodomą lub Gomorą, gdyby jednak Pan Bóg w swym gniewie zniszczyć mnie postanowił, a postawił za warunek zbawienia wykazanie pewnej liczby już nie sprawiedliwych, ale pracowitych ludzi, którym daję schronienie i przytułek, obawiam się, by ta rewia zbyt kuso nie wypadła. Czem tedy te braki moje tłumaczyć? Po części zapewne tem, że stałem się matecznikiem dla starszych, którzy tu całemi masami na spoczynek doczesny i wieczny zjeżdżają, witając już z wagonu obiecującem hasłem me mury: *morituri te salutant Cracovia.* — Widok tych szanownych i szanujących się przybyszów, odpoczywających po trudach lub grzechach żywota, działa niewątpliwie epidemicznie na resztę mieszkańców. Powiew jakiś martwoty zawisł nad miastem i tłumi w duszach energią i przedsiębiorczość; to pewna, że ani przemysł, ani handel nie rozkwitają w mych murach, a to mnie napawa smutkiem i czarną melancholią. Bo, mimo żem królem na wygnaniu, radbym jednak moje szkarłaty w domu łatał i żywił się na miejscu, chętniebym odnowił dawne moje tradycye, kiedy bogate kupiectwo krzewiło się tu bujnie i uprawiało wielki i żywy handel, który dziś stopniowo na handelek spłowiałemi parasolami i starzyzną się przetwarza.

Kiedy z wysokości moich wieżyc spojrzę na mój rynek, na którym bywa rojno i gwarno, lu-

dzie mi się przedstawiają jak mrówki; gdybym się jednak tych mrówek zapytał, dokąd idą, co robią, wniknąłbym w bardzo niemrówczane tajniki ich duszy. Chodzą tu naprzód czciciele słońca i odprawiają swe pogańskie dewocye, chodzą następnie moi Hamleci, dzisiaj dekadentami się zwący, którzy zwątpiwszy o wszelkiej celowości w naturze, nie mogą wybadać, na co człowiekowi dał Pan Bóg ręce, mózgownicę i serce, i jak robaki padlinę, toczą swoje senne ja tysiącznemi pytaniami; chodzi wreszcie najliczniejsza rzesza tych, którzy nie idąc z postępem, wolą dotąd cudze dusze analizować, polują na szczegóły z życia, a jeszcze bardziej śmierci bliźniego; wielcy to i skrzętni kronikarze dziejów współczesnych, którym gorliwie dotrzymują kroku, historyą nawet przeganiając niekiedy. Z rynku idzie się do siebie na kanapę, aby tam spocząć i ziewać, bo mebel ten jest w Krakowie najbliższym powiernikiem, przyjacielem, ochłodą człowieka. Stanowi on nawet pracownią spekulacyjną miejscowych myślicieli, jak w pewnej słynnej komedyi starożytności. Ale gdyby też kanapa krakowska miała staremu Crebillonowi opowiadać swe dzieje, gwałtu, coby to były za nudy! Mogliby te konfidencye chyba wszyscy czytać, ale że niktby ich nie czytał, przypuścić się godzi. Takich nudnych kanap, jak w Krakowie, niema chyba na świecie; kiedy w dniach przeprowadzań harcują one po ulicach, ziewać się chce na sam ich widok.

Ktoby więc miał ochotę, mógłby tu zorganizować liczne bezrobocie z samych fachowych i doświadczonych elementów. Bo nie łatwo znaleść drugiego miasta na świecie, gdzieby tyle było marnotrawstwa czasu, tyle włóczenia się po ulicach bez przyczyny i celu, tyle sennych i nieurodzajnych egzystencyi. Dawniej rozrzutność pienię-

dzy gorszyła słusznie w naszym kraju, dziś tej rozrzutności mniej, bo niema co rozrzucać, ale za to rozrzutność czasu, niemniej karygodna, kwitnie w najlepsze. A jeżeli stary Kronos zjadał według podania istoty ludzkie, to moi mieszkańcy pomścili się i odgryźli sowicie na okrutnego starca skórze. A mimo tego wśród murów, które Feaków nieco sennych mieścić się zdają, nie usłyszysz częstszego wyznania, jak to, że „jestem dziś bardzo zmęczony,“ lub „nie mam czasu.“ Ostatni ten frazes jest istnym talizmanem, zasłaniającym moich mieszkańców przed grozą wszelkich attentatów na błogi i pożądany spokój i wypoczynek po tymże spokoju. Ostrzegał kiedyś przed tym frazesem cesarz Marek Aureli, prosił, aby go ani w listach, ani w mowie nie używano. Ale cesarz Marek Aureli nie przewidział, że kiedyś na odległej północy zamieszka ludek, który nigdy czasu mieć nie będzie.

Skoro jednak potrzeba, aby maszyna szła i funkcyonowała jako tako, trzyma się na stajni kilka kozłów ofiarnych do wszystkich posług i zajęć. Na ich barki zwala się wszystko, muszą one pracować, myśleć, pisać, nawet czytać za społeczeństwo, odświeżać jego rozum i serce, należeć do wszystkich ciał uczonych i nieuczonych, przesiedzieć pół życia po komitetach i sesyach, a po dniu przemęczonym żąda się w dodatku od nich, żeby rozchmurzali czoła innym żeby ten kozioł na benefis zebranych Feaków bywał jak w pieśni ludowej koziołeczkiem bardzo rozpustnym. Są to tragiczne egzystencye, nieznajdujące żadnej manny pożywczej około siebie, skazane na odżywianie się moralne własną wyłącznie pracą i zachodem, nieotrzymujące żadnej myśli, ani natchnienia od tych, co je otaczają, zagrożone więc nadwyżką wydatków nad to, co dla życia osobistego

im potrzeba. To też kozły ofiarne prędko się zużywają, a społeczeństwo rzadko poczuwa się do winy i nie wietrzy mordercy, który ich powalił Tymczasem reszta Feaków wczasuje dalej, a. życzyćby jej tylko wypadało, aby się przytem dobrze bawiła. W rzeczywistości jednak ja tej zabawy nie widzę i napróżno oglądam się za swobodą i wesołością, którą pono dawniej słynęli Polacy. Objaw ten w części jest zrozumiałym, bo prawdziwie stosunki polityczne nie są po temu, aby różowo uspasabiać człowieka, w świecie naszym tak się zasępiło, tyle ciężkich odgłosów codzień zewsząd przychodzi, że kto ma serce na miejscu, zbytnie weselić się nie może. Ale od smutku bardzo uprawnionego odróżnić jeszcze należy brak humoru, a raczej zły humor, z którym codziennie się spotykam. Przecież spełnienie obowiązku i energia życia, choćby w najtrudniejszych okolicznościach, zapewnia jeszcze pewną swobodę, a nawet wesołość.

Otóż przyjezdni i miejscowi zapytywali mnie już nieraz, czem wytłómaczyć zły humor moich mieszkańców. W powieści Voltair'ea *Candide* rozpisuje się konkurs na człowieka, któryby był najbardziej niezadowolonym ze swego stanu. Po długich porównaniach wygrywa go wreszcie profesor ze względu na to, że chyba niema rzemiosła na świecie, któreby tak prędko obrzydnąć mogło. Czyżby więc zły humor Krakowa ztąd pochodził, że tu tylu profesorów się gnieździ? Zapewne, że cząstka prawdy w tem być może, bo ludzie, którzy wiecznie polują na błędy bliźniego po zeszytach i odpowiedziach, w postępowaniu muszą mimowoli skwaśnieć nieco i zgorzknieć. Ale to nie wystarcza do wyjaśnienia sytuacyi, jak również uwaga, że tu tyle ludzi żałuje i pokutuje za grzechy żywota. Przyczyny złego humoru Kra-

kowa są ważniejsze i głębsze. Konkurs na niezadowolonych ze swego stanu wypadłby tu świetnie ze względu na wielką ilość pretendentów do nagrody. Chodzi po moich ulicach spora liczba męczenników, na których świat się nie poznał, którym świat ten ciągle uchybia, którzy dlatego, że do szerszej areny byli przeznaczeni, w ciasnych swych ramach duszą się ciągle i nie mają ochoty marnować sił cennych na bagatele. Coby to się zrobiło, gdyby Pan Bóg nie stworzył tem, czem się jest, gdyby się było na innem stanowisku i nie miało się robić tego, co się powinno robić, a czego się nie robi, oto parawan, za którym śpią i drzemią moi cudzołożnicy karyerowi, którym życie schodzi na ciągłych aspiracyach po sąsiedztwie, na ciągłych zapewnieniach, że się jest kopalnią wszelkiego rodzaju zdolności, które odbytu nie znalazły, słońca ujrzeć nie mogły i schodzą wreszcie ze swoją tajemnicą w progi wieczności. I w ten sposób kwasikiem osobistym i niedotrzymywaniem tego, do czego się jest zobowiązanym, mści się człowiek systematycznie na społeczeństwie, które trwa w swych winach i uporze. Zemsta to taka miła i wygodna, boć i uczucie ostatecznie błogie, że się jest niepoznanym i zwalnia to od rozmaitych obowiązków. Kiedy kto w pługu chodzi, a ma przekonanie, że jest do karety, musi ciągle wspinać się i wierzgać, ale pługa nie pociągnie. Jest to zły humor, właściwy wszelkim dłużnikom, bo tu pełno ludzi, którzy długów swych nie płacą, to jest nie dają społeczeństwu pełnej miary, która się od nich należy. Na próżno to nazywać melancholią, albo nawet „Weltschmerzem;“ są to szumne nazwiska, w które się szumowiny niekiedy ubierają. A jeżeli ktoś powiedział, że wielkie umysły są zawsze melancholiczne, to przecież to nie wyklucza mniej-

szych umysłów ze złym humorem i takich znam ja podostatkiem. — Znam ja te egzystencye, które nigdy niczego nie produkują, uciekają przed samotnością, która jedynie w pewnych odstępach umysł odświeżyć i ukrzepić może, ciągle szukają bliźniego, od którego żądają dostawy myśli i podniecenia sennego mózgu, istoty jałowe, potrzebujące ciągłego importu z zewnątrz. Siedzi to bractwo na kupie, skarżąc się wiecznie na moje nudy, a nie zdaje sobie sprawy, że dwóch, trzech nudziarzy zebranych, nudy te tylko zdwaja i potraja. Rozchodzi się potem wszystko pod wrażeniem doznanego zawodu, aby nazajutrz znów popróbować, czy też z próżnego rzeczywiście nic nalać się nie da. Jedyny więc warunek byłby w tem, żeby się tak często nie zabawiali i nie widywali. Kiedy też ich widzę na kupie, miałbym ochotę rozegnać ich na cztery wiatry i wykrzyknąć, aby się z miejsca ruszyli i to gruntownie — *Ite in orbem universum!* Bo to także należy do właściwości moich mieszkańców, że przyrastają do gleby i z miejsca ani ich ruszyć. A jabym na podróżach tylko mógł zarobić, odświeżałoby to moje powietrze, a z drugiej strony chroniłoby od ciasnoty, w którą każdy kraj popaść musi, nie porównywujący swego położenia z obcymi. Wstręt do podróży, które mogą być najlepszem lokowaniem pieniędzy, staje się prawdziwą klęską w moich okolicach. Tak tu okien za Europę nie otwierają, że powietrze musi się robić ciężkiem i niezdrowem. Pókiśmy podróżowali, szliśmy z postępem; teraz ani wiemy, jak nas wszędzie przeganiają, a zamiast na czyn energiczny się zdobywać, topimy się dalej w przestarzałych biurokratycznych nawyczkach, toniemy w oceanach atramentu, nad któremi duch się nie unosi i z których żaden ląd stały wyłonić się nie może.

Po tych wywodach i zboczeniach łatwiej zrozumieć przyjdzie, dlaczego moi mieszkańcy tak licho się bawią. Na to, żeby odpoczywać, potrzeba się zmęczyć, inaczej odpoczynek będzie tylko dalszym ciągiem i innym rodzajem nudy, przewróceniem się sennego ciała na bok drugi. Autor francuski osiemnastego wieku zapytany o przyczynach złego humoru mieszkańców pewnego miasta, następną dał odpowiedź: *Comme ils ne se lassent jamais, ils ne se délassent jamais.* Gdy widzę Krakowian wśród wczasu, jak odsztywnieć nie mogą, zdobyć się na śmiech zdrowy i pełny, zawsze mi się przypominają te słowa. *Otium* tu praktykuje się zawsze *cum dignitate* i to z taką *dignitas*, że aż ona swobodę zabija. A przecież już psalmista poważny powiedział: *Beatus populus, qui scit iubilationem*, co znaczy: błogosławiony lud, który weselić się umie. Przetłómaczyć to należało na ojczysty język, bo inaczej moi mieszkańcy gotowiby jeszcze błogosławieństwo owe odnieść do jubileuszów i jubilatów.

Powiedziało się tu niejedno twarde słowo, ale mi też tak zajechano za skórę ciągłem gderaniem na moje nudy, że rzecz mi się w końcu przejadła. Bo ja przecież w mych latach sędziwych roli *eines komischen Alten* podejmować się nie myślę, a ostatecznie każdy swych nudów własnym jest kowalem. Mówiłem zaś przydłużej o tym grzechu, bo mi się on rozpanoszył zbytecznie, a wiele innych za sobą sprowadził. Z niego płynie ten brak przedsiębiorczości w myśli i czynie, ta szara senność utartej kolei, która mnie pogrąża w pewnej martwocie, z niego ten ogólny brak ambicyi, który sprawia, że ludzie nie siłą polotu, ale raczej siłą ciężkości dostają się na stanowiska i na nich pozostają, z lenistwa wreszcie to bujne kwiecie złego humoru, który, jak grzyb, osiadł na mieście i

zakwasza pożycie moich mieszkańców. Do tego doszło, że przy spotkaniu Krakowianina po pytaniu o nowiny z miasta, następuje stale na wstępie formułka: kto umarł? Zdawaćby się mogło, że jestem tylko wielką poczekalnią przed bramą wieczności, że umieranie jest głównem i jedynem zajęciem moich mieszkańców, jedynym talentem towarzyskim, ożywiającym jednostajną życia codzienność. Pytanie to srodze mnie obraża i ta rola kostnicy i płaczki narodowej, jaką mi przeznaczają. Jużci nie biorę starszym ludziom za złe, że mój cmentarz na wieczny spoczynek dla siebie obierają, ale na tych, co słodycze tej *requies aeterna* antycypują za życia, sromać mi się godzi sprawiedliwie. Bo jeżeli mam laury z przeszłości, to nie na to, aby były miękkiem dla gnuśności posłaniem, lecz na to, aby budziły dusze i spać im nie dawały.

„Czas“ Nr. 49 z 1 Marca 1893 r.